

Margot Malińska

## **Wspomnienia Pomorzanki - ocalić od zapomnienia**

Urodzona i wychowana w Działdowie, mieście i okolicy znanej z Patriotycznej postawy z czasów plebiscytu i niezwykłego rozkwitu kultury polskiej okresu międzywojennego, wyrosłam w atmosferze głębokiego umiłowania ojczyzny, ukochania mowy ojczystej i kultury polskiej.

W 1935 r., mój mąż (Władysław Maliński – N. M.), urzędnik państwowy przeniesiony został służbowo do Kartuz, gdzie pracował w starostwie. Rok później zostałam czynnym członkiem Ligi Obrony Powietrznej Państwa – Pań, pełniąc funkcję skarbnika. Prezeską była p. Borszewska, żona ówczesnego dyrektora gimnazjum w Kartuzach. Każda z tych lokalnych placówek starała się zebrać z darów społeczeństwa jak największą kwotę na fundusz społeczny na budowę samolotu myśliwskiego. Jakże byłam szczęśliwa i usatysfakcjonowana, gdy nasza prezeska została odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi za najlepiej przeprowadzoną akcję. Razem z żoną ówczesnego sekretarza magistratu p. Jelińską zebrałyśmy niebagatelną kwotę, przyczyniającą się do tego, że wyróżniono nas w całym ówczesnym województwie pomorskim.

Był to okres napastliwych wrzasków hitlerowców i ich przygotowań do napaści na inne kraje i narody. Poblize Gdańska, zbuntowanego buńczuczным zachowaniem się młodzieży hitlerowskiej, nie przejmowało nas zbytnio, gdyż daleka była myśl jakiegokolwiek z ich strony napaści wobec szczęścia wolności słowa i myśli w niepodległej ojczyźnie.

W 1938 r., gdy wciąż nasilały się wydarzenia ekspansji hitlerowskiej dowiedziałam się, że w sierpniu czy też wrześniu 1939 r. będę ponownie matką. W czasie tym niezwykle denerwującym z powodu napaści na rodaków w Gdańsku i wiecznie powtarzającymi się wrzaskami rozhysterizowanych hitlerowców, wydarzyły się znamienne wypadki, z których jeden wart odnotowania. Policja nasza była zobowiązana do niezwyklej czujności, gdyż poblize Gdańska powodowało wiele incydentów granicznych.

Kilka dni przed moim porodem, mąż mój wrócił z wiadomością, że jeden z policjantów słyszał z okien niemieckiego właściciela ziemskiego Hoehnego z Borcza k. Kartuz, rozlegającą się hitlerowską bojową pieśń. Gdy wkroczył do pomieszczenia, po kilkakrotnym wezwaniu do otwarcia, znalazł się w dużym apartamencie, którego główną ścianę zdobiła wielka flaga hitlerowska. Pokój przepelniony był ludźmi. Flagę hitlerowską

zarekwiował, zebrany kazał rozejść się. Młody urzędnik starostwa, na widok hitlerowskiej flagi wypadł w szal i rzucił się na nią ze szczyrym rozdzierając nieznacznie. Ówczesny starosta ( mgr Jan Belina – N. M.) zganił pracownika Dąbrowskiego. Kazał uszkodzenie artystycznie zacerować, flagę zwrócić właścicielowi oświadczając, że zebranie nie było otwartym wiecem, a we własnym mieszkaniu każdy ma prawo czynić co mu odpowiada. Takie były ówczesne nakazy władz państwowych, niedrażnienia bestii hitlerowskiej!

Wkrótce też dowiedziałam się, że nastąpi ewakuacja ludności w głąb kraju. Dnia 31 sierpnia 1939 r. czekał na stacji kolejowej (w Kartuzach – N. M.) eszelon, składający się z 60-ciu wagonów towarowych przygotowanych do transportu ludności cywilnej. Mąż został mianowany kierownikiem eszelonu i jako odpowiedzialny za całość transportu, nie mógł poświęcić nam wiele uwagi. Wszyscy byliśmy przekonani, że po kilku tygodniach wrócimy do domu. Byłam wdzięczna, że kilka tygodni przed napaścią hitlerowską na nasz kraj Polskie Radio informowało codziennie mieszkańców, aby czynili zapasy w opatrunkach sanitarnych, artykułach żywnościowych, a zwłaszcza zaopatrzenia w sól, cukier, kaszę manną, ryż, świece, zapalki, maszynkę spirytusową i co najmniej 3 l denaturatu. Dzięki temu te niezbędne artykuły uchroniły nas podczas 5 - dniowego transportu w głąb kraju do Chełma Lubelskiego. Całe to skromne zaopatrzenie włożyłam na spód wózecka dziecięcego ulokowałam moje maleństwa, dwoje 5 i 6 letnich trzymało się boków wózecka, a mama moja niosła skromne zapasy odzieży dla nas. Tak ulokowani zostaliśmy w dniu 31 sierpnia 1939 r. w jednym z wagonów eszelonu, w którym znajdowała się liczna grupa rodzin urzędniczych, przeważnie z małymi dziećmi, płaczącymi z podniecenia.

Pierwszy postój wypadł w Toruniu i napawał nas lękiem, gdyż na stacji panowała jakaś nienormalna cisza. Po krótkim postoju eszelon nasz ruszył w dalszą drogę i na krótki czas zatrzymaliśmy się w Działdowie. Na stacji mojego rodzinnego miasta chciałam dowiedzieć się czegoś bliższego o moim rodzeństwie i ich rodzinach. Na sąsiednich torach stały także eszelony przepełnione uchodźcami i nasze nawoływania wzajemne poinformowały mnie, że wszyscy moi bliscy uciekli z Działdowa.

Następny postój wypadł nam na dworcu w Warszawie, gdzie młodzież harcerska i czerwonokrzyska roznosiła gorące posiłki i herbatę. Wkrótce jednak nastąpił alarm lotniczy i trzeba było zamknąć wejścia naszych wagonów towarowych. Było to 1 września 1939 r.. Byliśmy bardzo przygnębieni i przerażeni. Po odwołaniu alarmu pociąg ruszył w dalszą drogę. Na każdym postoju biegałam do maszynisty, który w pośpiechu dostarczał mi gotowanej wody. Jednak nie posiadałam zimnej wody dla wyrównania temperatury. Skutek prania pieluszek był taki, że wkrótce ręce

moje były całe w pęcherzach, naskórek schodził z rąk i każda następna próba prania była niesamowitą męczarnią.

Gdy stanęliśmy na dworcu w Terespolu nastąpił nalot. Nie wszyscy usłuchali wezwania zamknięcia wagonów i uciekający stali się cełnym obiektem zniżających się bombowców hitlerowskich ostrzeliwujących ludność z karabinów maszynowych. Mimo nakazu mojego męża, aby nie wychylać się z wagonów zwłaszcza, że obok naszego transportu znajdował się transport amunicji, niektórzy przerażeni uciekli z wagonów i kilka osób zostało rannych. Przerażenie było tym większe, że od wstrząsów powietrze w zamkniętych wagonach towarowych stało się gęste i czerwone od odpadającego tynku. Jakże byliśmy uszczęśliwieni, jak jeden z piratów powietrznych został zestrzelony przez działo przeciwlotnicze ukryte w koronie drzewa. Widzieliśmy, jak spadał w płomieniach. Głównym ich celem jednak było lotnisko w Terespolu, gdzie - jak się później dowiedzieliśmy - pracowali fachowcy - szpiedzy niemieccy. Po tym nalocie można było naprawdę mówić, że szczęśliwie uniknęliśmy śmierci, gdyż na sąsiednim torze na stacji Terespol stał pociąg pełen amunicji.

Na następnym postoju w Brześciu nad Bugiem zachłysnęliśmy się radosną nowiną: „Francja i Anglia wypowiedziały wojnę Niemcom. Gen. Bortnowski wkroczył do Prus Wschodnich!” Uściskom, radości nie było końca, wiedzieliśmy i wierzyliśmy, że wkrótce wrócimy do naszych domostw i żyć będziemy w spokoju radością dnia codziennego. Korzystając z postoju w Brześciu mąż i jeszcze kilku mężczyzn, udało się do miasta, by nabyć trochę artykułów żywnościowych, a zwłaszcza mleka. Niemowlęta moje były wiecznie głodne, gdyż nie starczyło dla nich pokarmu. Maszynista jednak ostrzegł ich, by nie przebywali w mieście długo, gdyż wkrótce ruszamy w dalszą drogę do Chełma Lubelskiego. Proszę sobie wyobrazić moje przerażenie, gdy wszyscy wrócili, tylko mój mąż nie; a miał przy sobie wszystkie dokumenty i wypłacone 3-miesięczne wynagrodzenie. Byłabym pozostała bez jakichkolwiek środków utrzymania tak licznej gromadki. W ostatniej jednak chwili mąż wrócił, lecz byłam tak przerażona, że zemdlałam. Złożyły się na to wszystkie troski o dobro mojej czwórki dzieci, brak normalnego pożywienia i warunków sanitarnych oraz ciągle napięcie nerwowe i lęk o życie wszystkich najbliższych.

Po trzech dniach i dwóch nocach przybyliśmy do Chełma Lubelskiego, gdzie niezwykle troskliwie zaopiekował się nami Czerwony Krzyż. Potem stanęliśmy we wsi Bukowa Wielka w pobliżu miasteczka Sawina. Byliśmy pod dachem życzliwych ludzi i wierzyliśmy, że w krótkim czasie powrócimy do domu.

Pomocna była opieka i doświadczenie mojej matki, która w 1920 r. bez pomocy lekarskiej i środków medycznych wyleczyła mnie z czerwonki. Wszelkie bowiem obawy, a przede wszystkim krwawe wypróżnianie moich

niemowląt świadczyły o tym, że chorują one na czerwonkę, na którą w tym czasie wiele uchodźców, a zwłaszcza dzieci umierało.

Piękna słoneczna, bezchmurna pogoda, prawdziwa polska jesień stała się utrapieniem dla nas i naszych dzielnych żołnierzy. Ciągłe naloty piratów hitlerowskich przygnębiały nas, a częste wypadki postrzelenia kobiet wybierających na polu ziemniaki lub dzieci pasących bydło przerażały. Po kilkunastu dniach nasi żołnierze kazali opuścić wieś, udać się we wskazanym kierunku, gdyż znajdowaliśmy się na linii frontu. Dzień i noc słyszeliśmy głuchoe odgłosy armat w walce o Włodawę. Byliśmy przedtem przekonani, że przed brutalnym najeźdźcą nigdzie nie można było znaleźć spokojnego kąta. Ponieważ rozpoczęła się strzelanina uciekaliśmy czym prędzej – cała ludność naszej i okolicznych wsi przez łąki we wskazanym przez wojsko kierunku. Niskie kółka wózka dziecięcego grzęzły w polu mimo, że ja popychałam, mąż z drugiej strony ciągnął wózek umocowaną liną. Matka zaś prowadziła dwoje starszych dzieci. Skryliśmy się w pobliskich okopach pozostałych z pierwszej wojny światowej, bardzo głębokich. Lecz już w krótkim czasie pękł w pobliżu w powietrzu szrapnel i w pośpiechu uciekaliśmy coraz dalej. Gdy dotarliśmy zmęczeni i spoceni do pobliskiej wsi wszystkie stodoły i domy były przepełnione. Musiałam znaleźć kącik przeznaczony do przewinięcia i nakarmienia rozkrzyczanych bliźniaków. Gdy nastąpiła względna cisza następnego dnia nie mogliśmy wrócić. Widzieliśmy całe szeregi naszego wojska, żołnierzy umęczonych, głodnych, cofających się. Tak niewymowny żal ścisnął serce na widok naszych chłopców, że nieraz zdawało się nam, że już nie starczy sił i lepiej byśmy wszyscy zginęli. Ten widok rozdzierał serca nasze. Gdy uchodziliśmy z naszego miejsca zamieszkania mieliśmy odzież letnią, także obuwie, które teraz było prawie w strzępach. Ponieważ posiadaliśmy pieniądze postanowiliśmy udać się do miasteczka Sawina, odległego o 9 km, by zdobyć przede wszystkim odpowiednie dla nas obuwie. Szybko załatwiliśmy nasze skromne zakupy i byliśmy świadkami rozdzierających serce scen przede wszystkim ludności żydowskiej. Podwozy posuwały się w kierunku Bugu, a szereg tych podwozów był tak niekończący, że tam gdzie był koniec furmanek, znajdował się już łeb koński następnej podwozy. Na wozach znajdowały się bety i dzieci, z boku furmanka obwieszona była garnkami, a dorośli szli lamentując. Na jednym z podwozów byliśmy świadkami takiej sceny: obok domku stała furmanka, młody Żyd wrzucał przez okno pierzyny i odzież, lokując na niej dzieci w dużych ilościach, a stary Żyd głośno lamentując ścigał wszystko z powrotem z wozu i z rozdzierającym jękiem rzucał się pod nogi konia. Wszystko to działo się przy głośnym płaczu dzieci, kobiet i starca. Widok był przerażający, do dzisiaj przejmujący grozą wspomnienia. Wszyscy uciekali za Bug do Związku Radzieckiego, aby uciec przed hitlerowskimi siepaczami. Staraliśmy się szybko wrócić przed zmrokiem do domu, będąc w ogromnej rozterce, czy nie pójść śladem

uciekających. Jednak poważna choroba dzieci spowodowała, że postanowiliśmy pozostać i z innymi dzielić losy nieszczęsnych.

Pewnego dnia w końcu września podczas, gdy karmiłam jedno z moich bliźniąt, drzwi rozwarły się z hukiem. Wkroczył żołnierz SS i z wymierzonym bagnetem kazał natychmiast opróżnić mieszkanie. Moje pytanie poprawną niemiecką, dokąd mam pójść z małymi dziećmi wywarło taki skutek, że udał się natychmiast do komendanta, który pozwolił nam i naszym gospodarzom pozostać w mieszkaniu.

W całej tragedii wrześniowej z 1939 r. podziwiać należy oprócz bohaterstwa naszych żołnierzy, niezwykle zdyscyplinowanie społeczeństwa, niezwykle przygotowanie i poświęcenie organizacji PCK, którzy w tak skuteczny sposób umieli podjąć trudnym zadaniem, które sprowadziła na nas napaść hitlerowska. Młodzież, zwłaszcza harcerska i czerwono krzyska z wielką umiejętnością i serdecznością spieszyła z pomocą potrzebującym.

W końcu października 1939 r. hitlerowcy zorganizowali powrót uchodźców na Pomorze. Transport odbył się samochodami ciężarowymi. Byliśmy ściśnięci niesamowicie, tym bardziej odczuwałam grozę transportu, że mąż i starsze dzieci ulokowane zostały na innym samochodzie. Moja matka i ja z wózkiem moich niemowląt jechałam innym samochodem. Przejeżdżaliśmy przez spalone i zniszczone wsie i miasta, na jezdniach i szosach leje po pociskach i zniszczone mosty naprawiali nasi ukochani żołnierze, których widok w niewoli rozdzierał mi serce. Wstrząsy samochodu były tak niesamowite, że główki moich niemowląt uderzały o siebie, mimo przegrodzenia pieluszkami i mimo, że całym ciężarem kładłam się na wózek, aby hamować wstrząsy. Dzieci przeraźliwie płakały, a ja byłam zupełnie wyczerpana, spocona i mimo upływu czasu nie miałam możliwości przewinięcia maleństw i nakarmienia ich. Wysadzono nas wszystkich w Lublinie przed sporządzonym obozem (przez płot widzieliśmy tłumy ludzi) i po kolei wpuszczano przez bramę do tego obozu. Była nas tak wielka ilość, a nadzorców stosunkowo mało, że mojemu mężowi udało się złapać mnie pod rękę i razem z wózkiem szybko przeprowadzić przez jezdnię i wprowadzić do bramy najbliższego budynku. Kazał mi szybko poszukać jakiegoś mieszkania, a sam korzystając z ogólnego chaosu, wrócił po dzieci starsze i moją matkę. Udało nam się znaleźć gościnę i pomoc w rodzinie żydowskiej, która bardzo serdecznie zajęła nami się.

Tego samego dnia znaleźli dla nas w tym samym budynku pokój u żony budowniczego miejskiego Lublina, która w mieszkaniu z córką pozostała sama, gdyż mąż jej i najstarszy syn wyruszyli rzekomo na spotkanie wojska francuskiego idącego nam z odsieczą. Domyśliliśmy się później, że postanowili przystąpić do walki w podziemi.

Na początku listopada hitlerowcy zorganizowali transport wszystkich uchodźców do Gdańska. Tam dopiero, od przypadkowo spotkanego

kolejarza mąż dowiedział się, że hitlerowcy poszukiwali m. in. powstańców wielkopolskich (Grosspolnische Aufstander), śląskich i innych. Dowiedział się także, że rozstrzelano pod Kaliskami k. Kartuz większą grupę patriotów polskich, a poszukiwania ich trwają nadal. Pierwszą myślą męża było uciec do Poznania, gdzie mieszkała jego rodzina, lecz kasy biletowe nie sprzedawały biletów bez okazania dowodów. Chodziło bowiem o wyłapanie podejrzanych, a wówczas podejrzanyimi byli wszyscy. Teraz dopiero zrozumieliśmy, że właśnie powrót na ziemie pomorskie ułatwiał hitlerowcom polowanie na ludzi.

Sekretarzem koła powstańców wielkopolskich w Kartuzach był mój mąż. Wszystkie dokumenty członków znajdowały się w miejscu jemu tylko znanym, a zdenerwowanie nasze sięgało granic wytrzymałości ludzkiej. Dowiedzieliśmy się także, iż nasze mieszkanie zajęte zostało przez Niemców. Doskonale orientowali się hitlerowcy na naszych terenach. Ponieważ mąż, jak i ja pracowaliśmy tak w Działdowie, jak i w Kartuzach w starostwie, znaliśmy dokładnie wszelkie zarządzenia okresu międzywojennego w stosunku do obcokrajowców. Byli częstokroć pobłażliwiej traktowani niż nasi rodacy.

Gdy wróciliśmy do Kartuz znajomi załamywali ręce. Nie poznawali mnie, gdyż karmiąc dwoje dzieci w tak nienaturalnych warunkach, byłam cieniem, schudłam i nie mogłam poruszać się o własnych siłach. Wszystkie dzieci chorowały na czerwonkę, nie było możliwości mycia, nie mówiąc o kąpeli, zmianie bielizny, zmianie ciągle niewłaściwie pranych pieluszek. P. Zawiszewska, żona kolegi męża z biura zaopiekowała się nami zabierając do swego mieszkania. Mąż z pomocą p. Litwic właścicielki domu, w którym mieszkaliśmy przed wojną zdołał dostać się do mieszkania celem usunięcia ukrytej broni i akt personalnych powstańców wielkopolskich.

W początkach grudnia 1939 r. pozwolono nam wprowadzić się do własnego mieszkania, przydzielając łaskawie jeden pokój. Resztę zajmowali hitlerowcy, którym zobowiązano mnie do sprzątania i opalania mieszkania i innych usług. Mąż mój, znający biegle niemiecki w słowie i piśmie wezwany przez Arbeitsamt (Urząd Pracy) zatrudniony został w Magistracie w charakterze ... woźnego. Ułatwiało mu to usuwanie paszkwilów, anonimów szkodzących Polakom z korespondencji odbieranej z poczty zanim została ona dostarczona do rąk hitlerowskich adresatów. Uratowało to niejednego z naszych rodaków, którzy przed aresztowaniem przenieść się mogli na tereny, gdzie byli mniej znani i poszukiwani.

Intensywna działalność i gorące zaangażowanie w ułatwianiu pracy kobiecie wiejskiej nastąpiło u mnie dopiero w czasie okupacji, gdy sama wysiedlona z całą rodziną do wsi Łapalice, miałam bezpośredni wgląd w udział w pracy kobiety wiejskiej. Mąż mój po odmowie podpisania listy niemieckiej został aresztowany i osadzony w kartuskim więzieniu.

Przesłuchiwany przez gestapo został bardzo dotkliwie pobity. Zwolniony po 14 dniach na 24 godziny celem porozumienia się z żoną w sprawie podpisania niemieckiej listy narodowościowej. Wykorzystaliśmy to do palenia zabranej korespondencji do hitlerowców, skrzętnie tak długo przechowywanej, dla przedstawienia przyszłym władzom polskim. Było to w styczniu 1942 r. podczas silnych 30 stopniowych mrozów. Po postanowieniu, że nadal odmawiamy przyjęcia „wspaniałomyślnych darów hitlerowskich” i sądząc, że po zniknięciu męża zniknie też powód do żądań w tym kierunku, tego samego dnia w nocy udaliśmy się pieszo do stacji Somonino. Tam pociągi towarowe przystosowane do transportu robotników łatwiej mogły służyć do zniknięcia z oczu, gdyż w Kartuzach byliśmy zbyt znani. Gdy następnego dnia niemiecki policjant zgłosił się celem zabrania męża do Stutthofu oświadczyłam, że mąż wyjechał na odpoczynek do swojej rodziny do Poznania. Oczywiście mąż udał się w zupełnie innym kierunku. Codziennie przeprowadzono rewizję w moim mieszkaniu i w końcu oświadczone, że mieszkanie musi być opróżnione dla „Baltendeutsche Tillnera” (Niemcy Bałtyjscy).

Nastąpiło wtedy gwałtowne poszukiwanie kąta dla 6 – osobowej rodziny, co było połączone z bardzo tragicznymi nieraz wydarzeniami. W urzędzie mieszkaniowym miasta oświadczone, że dla takich miejsca tu nie ma. Mąż miał tyle znajomości, że mam poszukać sobie miejsca na wsi. Odmówiono mi transportu niezbędnych mebli (odmowa Mielewczyka „Muhlbrechta” trudniącego się transportem). Dopiero przyjechał p. Brunon Benkowski, a syn p. Muchlińskiej pomógł mi w rozbiórce nieodzownych mebli i ich transporcie do wsi Łapalice, gdzie bezdzietne małżeństwo Skrzypkowskich umożliwiło mi zamieszkanie w 1 pustym pokoju i kuchence z cementową podłogą. Byli to bardzo dobrzy staruszkowie, którzy przez cały czas pobytu w ich mieszkaniu od lutego 1942 r. do maja 1945 r. nie pobierali ode mnie ani grosza. Przeciwnie, często wspierali dostarczeniem mleka tak nieodzownego dla zdrowia czwórki moich dzieci. Bardziej wartościowe rzeczy p. Zawiszewska przewiozła do ks. Paszoty w Przodkowie, które i tak zaginęły, a meble bardziej wartościowe przechowywała u siebie p. Cieszyńska. Zmuszona przez Arbeitsamt do pracy na roli w Łapalicach poznałam trud i znój kobiety wiejskiej. Przynależałam sobie, że jeśli wyjdę cało z tej gehenny to resztę sił i życia poświęcę ułatwieniu pracy kobiecie wiejskiej.

Mąż wyjeżdżając przygotował kilka pocztówek donoszących, że znajduje się w Poznaniu u swojej rodziny. Zatrudniony tam przy utrzymaniu porządku na ulicy, kopaniu rowów, czy innych pracach fizycznych. Pocztówki tego rodzaju wysyłałam po jego wyjeździe do siostr męża w Poznaniu, które rzeczywiście, jako Polki zatrudnione były przy tego rodzaju pracach fizycznych, prosząc, by co jakiś czas wysyłały do mnie tego rodzaju pocztówki! Wezwana kiedyś do miejscowego sołtysa, który miał

obowiązek wypytywania z czego się utrzymuję, pokazywałam pocztówkę męża i małą przesyłkę pieniężną 60 marek, które od czasu do czasu przysyłała mi rodzina męża. Jeździłam z chorymi dziećmi do lekarza, nawet do specjalisty do Gdańska, uzyskując specjalne zwolnienie od pracy rolnej przez „Ortsbauernfuhrera” na piśmie, pieczętka (odpowiednik naszego agronoma). Gdy po półtorarocznym pobycie na wsi, jedno z bliźniąt zachorowało poważnie po upadku, skierowano mnie do tego samego specjalisty, u którego już kiedyś byłam z dzieckiem miejscowego gospodarza. Starszego syna wzięłam ze sobą, gdyż znał trochę język niemiecki, uczęszczając obowiązkowo do szkoły wiejskiej, a 4 -letni Wojtuś nie znał niemieckiego. Podczas podróży pociągiem nastąpiła obława, podczas której rewidowano bagaż i kontrolowano dowody osobiste. Posiadałam jako jedyny dokument moją Haushaltskarte z czerwonym znakiem „P”, starannie unikając wizyty w Magistracie w Kartuzach po jakikolwiek dowód, gdyż zbyt wiele osób znało historię naszej odmowy podpisania niemieckiej listy narodowościowej. Wiedziałam, że wciąż namawiać mnie będą do wstąpienia w ich szeregi. Hitlerowiec, któremu okazałam zaświadczenie sprzed dwóch lat, podniósł je pokazując wszystkim i mówiąc, że takie zaświadczenie powinien mieć każdy, kto chce podróżować pociągiem.

Mieszkając jeszcze w Kartuzach uzyskałam przez kolegę męża z okresu przedwojennego p. Kaczmarczyka adres ojca rodziny p. Władysława Sitnikiewicza, który pozostawiając młodą żonę i dwóch synków we Lwowie, wywieziony został do Szczecina – Police na roboty przymusowe. Przedstawiłam się władzom hitlerowskim obozu jako siostra Sitnikiewicza i uzyskałam zezwolenie wysyłania do „brata” paczek żywnościowych. Były one bardzo skromne. Wysyłałam dużo chleba i cebuli, gdyż sama posiadając karty „P” nie mogłam wiele wysyłać. Był to duży obóz pracy, ale kontakt z Sitnikiewiczem utrzymany był aż do stycznia 1945 r.. Zdołał mi donieść, że jego żona została umieszczona w Majdanku, gdzie zginęła, o synach nic nie wiedział. Cały obóz przetransportowano w głąb Niemiec i nigdy nie dowiedziałam się o nim niczego bliższego, mimo poszukiwań przez Polski Czerwony Krzyż. Zbyt mało posiadałam danych osobowych. Program „Świadkowie” TVP także nie mógł mi pomóc. Jest to oddzielna tragiczna historia.

Jak różna była praca na roli od tej, którą oglądałam z daleka przed wojną. Falisty teren Szwajcarii Kaszubskiej powodował, że orka była ciągłym wspinaniem się pod górę i zjeżdżaniem w dół, gospodarz wracający z pola nie był w stanie zdjąć butów o własnych siłach. Wieczorami, zwłaszcza w okresie zimowym, zbierało się grono znajomych gospodarzy, młodych i starych, którzy z uwagą słuchali barwnych opowieści znanego działacza



kaszubskiego dr Majkowskiego, czytany przeze mnie przy zaciemnionych oknach!

Od samego początku nawiązałam kontakt z wywiezionymi na roboty rodakami z innych dzielnic Polski. Regularnie wysyłane paczki do jednego z nich, serdeczna więź zacieśniła się, gdy któregoś dnia otrzymałam od niego charakterystyczny list. Otóż pewnej nocy w 1943 r., budzono nagle mieszkańców wszystkich baraków, ładowano na samochody wojskowe ciężarowe. Wszystko pod nadzorem SS i karabinów maszynowych! Pewni, że ostatnia godzina wybiła, wymieniali szeptem swoje spostrzeżenia, dokąd ich wiozą. Wywieźli do lasu, kazali ustawić się w czworoboku, a za nimi ustawili liczne karabiny maszynowe, zaś w wolnym miejscu tego czworoboku znajdowała się szubienica! W pewnym momencie zajechała karetka więzienna, wyprowadzono jednego z ich młodych towarzyszy, postawiono go przed szubienicą i zawieszono ogromną tablicę z napisem „Ich habe die deutsche Rasse geschandet”! Nieszczęsny nawiązał kontakt z młodą dziewczyną niemiecką, za co teraz miano go po hitlerowskiemu ukarać. Komendant tego tragicznego widowiska spytał młodzieńca, czy czegoś pragnie. Odpowiedział „zapalić papierosa”. Gdy został poczęstowany przez niego, odmówił przyjęcia i dopiero na wezwanie komendanta dostarczony przez jednego z rodaków papieros został przez skazańca chciwie wypalony! Następnie trzej rodacy ze znakiem „P” widocznym po lewej stronie marynarki zmuszeni zostali pod groźbą pistoletu do założenia stryczka na szyję nieszczęsnego i wytrącenia oparcia spod nóg! Następnego dnia na czołowej stronicy miejscowej prasy hitlerowskiej ukazało się zdjęcie, jak to Polacy sami wymierzają karę temu, kto ośmielił się zhańbić rasę niemiecką!

Zbliżający się front powodował bezustanne ciągi niemieckich uchodźców z Prus Wschodnich przez Łapalice. Jednocześnie ze Stutthofu pędzono bezlitośnie więźniów obozowych tak wycieńczonych, że wielu, wielu rozstrzelano po drodze. Jeńców wojennych polskich i radzieckich. Moje małe mieszkanko przepełnione było to uchodźcami niemieckimi z Prus Wschodnich, którzy (starzy ludzie, po 80-ce) nie mogli zrozumieć, że „nie wypędzają Kaszubów z gospodarstw i nie osiedlają ich na tych gospodarstwach”! Gościłam też 5 oficerów - lekarzy francuskich, którzy po przespanej nocy i odpoczynku posuwali się dalej, aby wrócić do Francji.

Krótko przed wkroczeniem wojsk radzieckich do Kartuz w 1945 r. przebywała na naszym terenie grupa SS – manów ukraińskich. Któregoś dnia będąc na zakupach w Kartuzach usłyszałam regularny krok. Zanim znajoma zdażyła mnie ostrzec, abym się oddaliła, usłyszałam trzykrotnie oddaną salwę! Młoda kobieta i mężczyzna oraz 14 – letnia dziewczynka zostali rozstrzelani przy kościele ewangelickim za rzekome okradanie uchodźców z Prus Wschodnich. Ta sama grupa SS-manów przeprowadziła czystkę, wyławiając ukrywających się robotników polskich, zatrudnionych

u bambrów pruskich, a nie chcących się z nimi posuwać dalej ku Berlinowi, wiedząc, że koniec hitlerowców bliski!

Hitlerowcy wysiedlili też wszystkich mieszkańców naszego domu mieszkalnego (7 rodzin), by założyć tam swój sztab, gdyż jedynie ten dom posiadał murowane piwnice. W ciągu 15 minut musieliśmy opuścić mieszkanie, a słysząc zbliżające się wyzwolenie, szybko zdecydowaliśmy się do udania na przeciwną stronę jeziora przez topniejący lód. W powietrzu świsnęły kule karabinowe z samolotów, gdy na samym zakręcie dogonił nas SS – man z rewolwerem w rękę dopytując się o Malińskiego! Znajoma pani Richertowa, matka późniejszego inspektora szkolnego Edmunda Richerta z całą przytomnością umysłu oświadczyła, że tu go nie ma, że poszedł w innym kierunku. Mogła tak twierdzić, gdyż wszyscy rozeszli się w różne strony. SS – man popędził we wskazanym kierunku przez pola. Właściciel tego gospodarstwa opowiedział później, że jak szalony popędził do stodoły, na strych, do piwnic szukając męża. My natomiast byliśmy już za jeziorem i oczekiwaliśmy wyzwolenia.

Po powrocie do miasta mąż wrócił do pracy w starostwie, a ja zaczęłam pracę w Zarządzie Gminnym w Kartuzach. Jedno wydarzenie utkwiło mi szczególnie żywo w pamięci!

Otóż wiosną 1943 r. przybyłam do miasta w celu nabycia artykułów spożywczych na karty i kupując w sklepie narożnym, znajdującym się przy Rynku, usłyszałam nagle śpiew! Śpiew najpiękniejszy na świecie dla każdego Polaka! Nie wierzyłam swoim uszom, lecz ponieważ wszyscy obecni w sklepie, tak ekspedientki, jak i kupujący podbiegli do okna wystawowego, nie mogłam się mylić! To większa grupa osób idąca jezdnią przez ulicę Dworcową śpiewała polski hymn! Pierwszą myślą moją było - koniec wojny! Wypadłam ze sklepu dołączając do gromady ludzi idących w kierunku dworca, odprowadzanych przez liczną asystę policji niemieckiej, nie mającej żadnego wpływu na demonstrację narodową Kaszubów! Okazało się, że hitlerowcy, wówczas już nie odnoszący tyle „Siegów” (zwycęstw), przyprowadzili zaciąg młodzieży kaszubskiej do wojska niemieckiego. Młodzież gremialnie odprowadzana przez rodziny śpiewała nasz hymn, „Kto się w Opiekę”, „Serdeczna Matko” i tym podobne pieśni narodowe i kościelne – polskie! Policjanci szaleli, mieli obowiązek doprowadzić młodzież do oczekujących na nich pociągów i jako poborowych nie mogli ich źle traktować. Dlatego też całą złość swą skupili na pozostałych na peronie płaczących i śpiewających członkach rodzin, szarpiąc ich i aresztując kilka osób! Byłam świadkiem tych wydarzeń, które mnie bardzo podniosły na duchu, jak zresztą wszystkich obecnych. „Trzymajcie się

chłopcy”, „nie dajcie się”. Tak żegnali zrozpaczeni członkowie rodzin swoich odjeżdżających na front chłopców!

Wiosną 1945 r. wielu jeńców polskich korzystało także z chwilowego odpoczynku w moim mieszkaniu w Łapalicach. Staraliśmy się ulżyć choć na chwilę ich niedoli, opatrując odmrożone ręce, nogi, uszy. Byliśmy pewni, z powodu bliskości frontu radzieckiego, że pozostaną u nas, pomogą nam wyzwolić się od okupanta. Niestety, walka o Gdańsk, uparte boje o Żukowo spowodowały, że wszystkich jeńców popędzono do kopania rowów obronnych i w końcu popędzono dalej w kierunku Szczecina. Jeden z nich po oswobodzeniu przyjechał z białostockiego, aby przekonać się, czy przeżyliśmy. Byliśmy wzruszeni tak serdeczną troską, zwłaszcza, że podróż w 1945 r. nie należała do przyjemności i rodak nie wiedział nawet, gdzie w Kartuzach mieszkamy.

Po oswobodzeniu Kartuz i okolic, a wciąż trwających walkach o Żukowo i Gdańsk, wróciliśmy do mieszkania w Łapalicach, które całkowicie ogołoczone przyjęło nas na jedną noc. Następnego ranka wojska radzieckie zajęły moje mieszkanie, a nas ulokowano u gospodarza Jana Kasyny, gdzie jednocześnie otworzono miejsce odpoczynku dla żołnierzy wracających z frontu i wyjeżdżających tam z powrotem. Wiem, że byli tam szewcy, krawcy, fryzjerzy, którzy jednocześnie przygotowywali kąpiel. Po takim odpoczynku i nakarmieniu, żołnierze wracali na front. Głównym kucharzem mianowana zostałam osobiście. Nigdy w życiu nie napracowałam się tak ciężko i z taką radością, jak wówczas. To był mój skromny wkład w dzieło oswobodzenia. Nikomu nie wolno było mi pomagać. Starszyna wydawał mi towary żywnościowe i dyspozycje. Nieraz bywało, że w ciągu dwóch godzin trzeba było gęs zabić, oskubać i upiec, bo pułkownik, major i oficerowie będą w naszej placówce, na chwilowym odpoczynku.

Gdy Gdańsk został zdobyty nasza placówka wojskowa przeniosła się razem z frontem w kierunku Szczecina. Plakaliśmy rzewnie, gdyż pod ich opieką byliśmy pewni, syci w oczekiwaniu pełnego zwycięstwa. Kapitan radziecki wezwał mnie do siebie i oświadczył, że z magazynu wojskowego zostawia dla mojej rodziny metr mąki żytniej na chleb i metr kaszy, gdyż wie, że jesteśmy bez jakichkolwiek środków utrzymania. Po powrocie do Kartuz trzeba było zająć się pracą, aby utrzymać 7 – osobową rodzinę. Mąż pracował w starostwie, ja rozpoczęłam pracę w Zarządzie Gminnym Kartuzy wieś.

Po powrocie do własnego mieszkania w Kartuzach zostałam zatrudniona u Pełnomocnika PCK w Kartuzach Józefa Formeli, znanego działacza PCK na Wołyniu, który powrócił do Kartuz. Po powołaniu w 1946 r. Powiatowego Zarządu PCK, jedną z najważniejszych komisji problemowych stała się Powiatowa Komisja Młodzieżowa, której zostałam sekretarzem. Współpracowałam z kolejnymi przewodniczącymi

inspektorami szkolnymi, jak Marian Zaliwski, którego inicjatywie i współpracy zawdzięczaliśmy wystawę prac ręcznych młodzieży czerwono krzyżskiej uroczyste otwartej przez burmistrza miasta Feliksa Lewińskiego. Smutne wydarzenie ekshumacji zwłok, pomordowanych na terenie kartuskim i przeniesienie ich na cmentarz rzymsko – katolicki przyczyniło się do zebrania przez młodzież czerwono krzyżską ziemi z miejsc kaźni, w wykonanej ze srebra urnie w kształcie krzyża z pięciu równoramienne kwadratów z godłem czerwono krzyżskim na zewnątrz. Wycieczka organizowana dla młodzieży licealnej, pod opieką opiekunki szkolnego koła PCK Stanisławy Wasilewskiej przekazała urnę z ziemią z miejsc kaźni na Jasną Górę. Organizowano wówczas w niezwykle trudnych warunkach wycieczki krajoznawcze dla młodzieży starszej do Biskupina, Poznania, Krakowa, Wieliczki. Zakłady pracy podstawiały samochody ciężarowe przystosowane do transportu ludzi. Zawiadamialiśmy właściwe placówki PCK, gdzie młodzież mogła odpocząć i korzystać z przygotowanych dla nich posiłków. Wracali zawsze znużeni, lecz szczęśliwi i weseli, dumni z możliwości zwiedzania zabytków ojczystych.

Następnym przewodniczącym Komisji Młodzieżowej był inspektor szkolny Michał Wójcik. Współpraca z nim ujawniała się szczególnie w umocnieniu działalności organizacyjnej szkolnych kół PCK. Wielce zasłużył się także w przekazaniu obowiązku szkolenia sanitarnego wśród młodzieży.

Od 1954 roku do 1971 r. funkcję przewodniczącego Powiatowej Komisji Młodzieżowej pełnił inspektor szkolny ds nadzoru pedagogicznego Jan Balecki. Przez 17 lat swojej działalności społecznej dla dobra ruchu czerwono krzyżskiego zyskał uznanie władz szkolnych oraz młodzieży i instytucji czerwono krzyżskich wielkich szczebli. Odznaczony Honorową Odznaką PCK IV, III, II stopnia stał się wybitną postacią szerzącą idee humanitarne naszego stowarzyszenia. Dostrzegał w organizacjach społecznych dobrego sojusznika w realizacji zamierzeń dydaktyczno – wychowawczych szkoły.

W latach 50 –tych zwalniano z pracy wielodzietne kobiety celem zdobycia wiedzy o charakterze chałupniczym. W Urzędach Wojewódzkich postawiono do dyspozycji tych kobiet tzw Fundusz Interwencyjny, z czego skorzystałam organizując kurs haftu kaszubskiego, wówczas mało rozpowszechnionego. Jako pierwsza w województwie uzyskałam fundusz 500 zł dla każdej z 30 uczestniczek miesięcznie, angażując księgową z Banku Rolnego i dwie nauczycielki znane z pięknej umiejętności wykonywania haftu kaszubskiego. Na początek uzyskałam 10 tys. zł od wojewódzkiego Towarzystwa Kaszubskiego, którego prezesem był wówczas profesor Andrzej Bukowski oraz pomoc rzeczową w dostarczeniu szarego płótna z fabryki w Łodzi oraz kolorowych nici tzw. muliny, której wówczas w sprzedaży bieżącej nie było. Zawdzięczałam to prezesowi Centrali Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Warszawie Tadeuszowi

Jańczykowi. Po spotkaniu z nim wydał dyspozycję dostarczenia nam szarego płótna i kolorowych nici (kolory obowiązujące w hafcie kaszubskim) bezpośrednio z fabryki w Łodzi, ile było potrzeba dla kontynuowania kursu haftu kaszubskiego.

Po ukończonym 3 – miesięcznym kursie, jego uczestniczki przystąpiły do Spółdzielni Drobnej Wytwórczości w Gdańsku, zyskując w ten sposób możliwość utrzymania rodziny pracą chałupniczą i zorganizowały piękną wystawę swoich wykonanych prac w sali Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Kartuzach. Organizowany przez tą Centralę Spółdzielni konkurs na wspomnienia z okupacji wyróżnił mnie III krajową nagrodą za moje „Wspomnienia Pomorzanki”.

W Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Kartuzach zorganizowałam i szkoliłam drużynę sanitarną PCK, która w eliminacjach zyskała możliwość uczestnictwa – 5 – osobowa sekcja

w strojach kaszubskich – w Zjeździe Krajowym PCK w Warszawie, który odbył się w Politechnice Warszawskiej.

Źródło: Kaszubskie Zeszyty Muzealne, Z.10, 2009

